

Henryk Krzyżanowski

Sygnatura notacji: **N0497**

Data urodzenia: **28.01.1946 r.**

Data nagrania: **30.06.2023 r.**

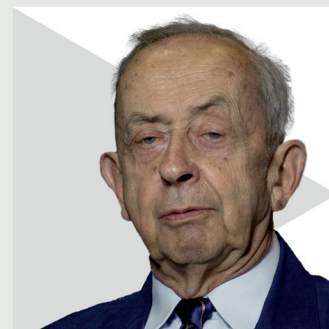
Miejsce nagrania: **Przystanek Historia, Poznań, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Plaskota**

Czas nagrania: **84 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryk Krzyżanowski: Ja się nazywam Henryk Krzyżanowski. Urodziłem się 28 stycznia 1946 r., czyli jestem, można powiedzieć, w pewnym sensie jeszcze wojenny, bo urodziłem się zaraz po tym, kiedy mój ojciec został zwolniony z obozu jenieckiego w Woldenbergu. To jest dzisiejszy Dobiegniew, a matka była wysiedlona pod Warszawą. Przed wojną rodzice byli ziemianami, mieli nieduży majątek w okolicy Sieradza, w okolicy właściwie najbliższej takiego małego miasteczka Warta pod Sieradzem. To się nazywał Garbów, ten majątek. No i oczywiście ojciec był zmobilizowany w stopniu porucznika, poszedł na wojnę. Był lekko ranny pod Kutnem i został tam wzięty do niewoli. Tak że całą wojnę spędził w oflagu. Mój starszy o 6 lat brat po raz pierwszy w życiu go zobaczył, mając 6 lat, bo on się urodził w 1940 r., w lutym 1940 r., kiedy ojca już nie było. No, oczywiście dekret o reformie rolnej odebrał rodzicom majątek i ojciec musiał szukać zatrudnienia. Osiedlili się w Sieradzu, ponieważ przed wojną majątek był w powiecie kaliskim. I to jakby pozwalało im na mieszkanie w Sieradzu, bo to było... Nie wolno było mieszkać w tym samym powiecie. Ojciec jako bardzo dobry rolnik był zatrudniany w firmach, które zajmowały się rolnictwem. Jego ostatnim miejscem zatrudnienia była taka firma, która wówczas jeszcze była prywatna, w Kutnie, firma nasienna. Ale jednocześnie cały czas deptało mu po piętach UB. Głównie z powodu jego pochodzenia i z powodu tego, że był człowiekiem dość kontaktowym, lubianym bardzo. Ja sam pamiętam jako taki zupełnie mały brzdąc rewizję w domu. Właściwie tak w nocy przyszło UB i robiło rewizję i nawet mnie jako takiemu brzdącowi pozwolono jeździć palcem po chłodnicy pepeszy, co mi się bardzo podobało. Ale obiektywnie to było okropne. Ojciec, nie wiadomo czy w obozie, czy później, nabawił się gruźlicy i umarł w 1951 r. Ja miałem wtedy 5 lat, tak że praktycznie prawdę mówiąc, nie pamiętam ojca. Pamiętam jakieś tam pojedyncze obrazy. Mieszkaliśmy w Sieradzu, w bloku komunalnym z moim młodszym bratem, ze starszym bratem i ponieważ dwoje starszego rodzeństwa już wtedy wyjechało z Sieradza, oni

byli z początku lat 30. Matka z początku bardzo szukała różnego rodzaju źródła dochodów, żeby utrzymać tę trójkę, właściwie czworo, ponieważ była jeszcze taka ukochana niania Terenia, Terenia Bohdanowicz, która była z zaścianka na łotwie. To był zaścianek związany z rodzicami mojej matki, czyli z moimi dziadkami, a właściwie pradziadkiem. Tam pradziadek miał bardzo duży pałac, no ale w Łikśnie. Niania, która szalenie nas kochała i traktowała nas jako własne wnuki, można powiedzieć, no nie miała żadnego dochodu, bo skąd? I w związku z tym na matkę tym bardziej spoczywał ogromny ciężar. Ale mimo tego ja bardzo dobrze wspominam dzieciństwo. Właściwie nie chodziłem do przedszkola, natomiast przedszkole miałem pod blokiem, ponieważ wtedy wszyscy mieli dużo dzieci. To takie było przedszkole, w którym były, chyba teraz Montessori tak ma, że miesza grupy wiekowe. No to myśmy właśnie byli w takich zmieszanych grupach wiekowych i tam właśnie do pójścia do szkoły, tam chodziliśmy, tam bawiliśmy się na podwórzu. Z przyjacielem z tego samego mieszkania, które było podzielone na dwie rodziny, czyli część zajmowali my, drugą część zajmowali oni. Przyjaźnię się do dziś, właściwie do dziś jest to mój najbliższy przyjaciel, natomiast jako taki mały brzdąc kiedyś, kiedy byłem chory i leżałem właśnie w łóżku i wiedziałem, że on jest za ścianą, to łyżką do zupy wygrzebałem sporą dziurę w ścianie, no tak sobie imaginując, że sobie będę z nim się kontaktował, dopóki ten delikt nie został odkryty. W Sieradzu skończyłem szkołę podstawową, liceum. Mogę powiedzieć, że w liceum poczułem się od pierwszego momentu bardzo dobrze, bo szkoła podstawowa była szalenie plebejska. I tam mogę powiedzieć, że też się dobrze czułem, ja mam łatwość kontaktu z ludźmi, ale tam głównie się liczyły takie, można powiedzieć, przymioty cielesne, kto się szybciej potrafi wspiąć na płot, albo kto dalej potrafi splunąć. Tego typu się liczyły sprawy. Natomiast w liceum, pamiętam, że zaraz na samym początku gdzieś tam na przerwie powiedzmy, opowiedziałem jakiś dowcip chyba, czy coś takiego i taki powiedzmy wianuszek kolegów, którzy tam stali ze mną, zaczął się śmiać. I pamiętam, że szalenie mi zaimponowało, że również ci, którzy byli w klasie maturalnej, patrzyli na mnie z pewną taką sympatią. I zdałem sobie sprawę, że w liceum liczy się już to, co ma się w głowie, a nie to, co właśnie w nogach. Chociaż ja bardzo lubiłem sport. Trzeba powiedzieć, że w tamtych czasach sport był szalenie istotną częścią naszych rozrywek. Graliśmy w siatkówkę, ja pływałem, takie pływanie długodystansowe uprawiałem. Graliśmy w koszykówkę, no to naprawdę było dużo tego typu zajęć. Były turnieje brydżowe organizowane. I muszę powiedzieć, że też trochę żeśmy... To były czasy, że trochę też dość sporo się piło wtedy jakichś takich tanich win, czy coś takiego. No, takie były wtedy rozrywki. Na studia poszedłem do Poznania, mimo iż metropolią dla Sieradza była Łódź. Ale ja trochę w opozycji do matki poszedłem nie na anglistykę, matka wołała, żebym ja szedł na anglistykę. Matka w ogóle знаła języki z domu, znaczy, znała francuski prawie natywnie z domu, ale ponieważ mało kto chciał się uczyć w Sieradzu francuskiego, a wszyscy pytali o angielski, a matka znała trochę angielski, ale tak no... powiedzmy średnio. I zorientowawszy się, że jest zapotrzebowanie na naukę angielskiego, bo w Sieradzu nie było wtedy w ogóle. Ani nie było w liceum, ani właściwie poza nim nie było nauczycieli angielskiego. Tak że przez pewien czas matka miała monopol. No to obstarwiła się książkami i tak się trochę systemem o trzy lekcje przed uczniami zaczęła uczyć, a potem doszła do dużej wprawy. No była właśnie całą instytucją w Sieradzu, takie komplety dla dzieci robiła właściwie popołudniami. Tak że nawet, muszę powiedzieć, dosyć nieźle nam się powodziło wtedy. No ale ja tak mówiłem: Nie, ja na anglistykę nie chcę, to pójdę na romanistykę. No ale romanistyki w Łodzi nie było, więc musiałem iść albo do Poznania, albo do Warszawy. No i wybrałem Poznań, w którym pierwszy raz w życiu w ogóle byłem na egzaminach wstępnych, więc zupełnie chyba to dla mnie ziemia nieznana. Dostałem się bez żadnych problemów i zacząłem studia, ale równocześnie jednak uczyłem się na angielski taki na kursach i dzięki temu, kiedy pojawił się tam młody taki naukowiec, wówczas z Łodzi, profesor Fisiak, znaczy, wtedy był docent Fisiak, i założył

anglistykę. I na tę anglistykę, jak mogę powiedzieć, mnie skaptował. Mój młodszy o dwa lata brat tam podjął studia, jako pierwszy rocznik anglistyki poznańskiej, no a ja tam prowadziłem się z tymi anglistami i tam, kiedy zostałem po skończeniu romanistyki przyjęty do pracy w takim dobrym liceum poznańskim Marcinku, którego specjalnością był francuski. Ale zostałem przyjęty, mając zaliczony jeden rok anglistyki tylko, to zostałem przyjęty jako anglista. Z dyrektorem Grają, bardzo go dobrze wspominam, bardzo szacowny taki był nauczyciel starej daty. Myśmy się umówili, że ja będę kontynuował anglistykę w trybie zaocznym, który tutaj profesor Fisiak otworzył, no i tak było. Wypuściłem jedną klasę wychowawczą w czasie swojej pracy, ja wszystkiego pracowałem 5 lat tam. I z tą klasą mam doskonałe relacje do dziś. No dość powiedzieć, że oni byli ode mnie o powiedzmy, 7 czy 8 lat młodszy, no więc to... Tak że na tle takiego bardzo, bardzo już niekiedy leciwego grona pedagogicznego, to ja byłem dla nich takim rodzynkiem. Ale to była dobra szkoła, naprawdę. Ja bardzo dobrze wspominam i właściwie nie zamierzałem się stamtąd wynosić, ale pojawiło się, kiedy skończyłem tę anglistykę, to mi zaproponowano przejście na anglistykę, na etat asystenta. No więc był to jednak niewątpliwie awans taki zawodowy, który mi dawał dużo szersze perspektywy. No więc porzuciłem Marcinka i przeniósłem się na tę anglistykę, w 1974 r. zacząłem tam pracować. No i reszta mojego życia już właściwie była związana z językiem angielskim, tak prawdę powiedziawszy. Właściwie do francuskiego wróciłem dopiero, jak byłem internowany, ale to potem powiem. Byłem już wtedy szczęśliwie żonaty. Moja żona była polonistką, też pracowała z początku na UAM. Wtedy oczywiście były to czasy, kiedy nikomu się nie śniło o wynajmowaniu mieszkań. Znaczący, młode małżeństwa, góra naprawdę, na co mogły liczyć, to był pokój przy rodzinie, wynajęcie pokoju przy rodzinie. No i myśmy tak wynajęli w Krzyżownikach. To taka właściwie wieś pod Poznaniem, ale to już wtedy był Poznań, u takiej bardzo, bardzo typowo poznańskiej rodziny. Z tą rodziną żeśmy się bardzo, bardzo przyjaźnili rzeczywiście, właściwie nawet żona została tam matką chrzestną wnuczki naszej gospodyni. Tak że bardzo dobrze, mieliśmy szczęście do ludzi, żeśmy spotykali dobrych ludzi na swojej drodze. Po 1976 r... Ja bym miał powiedzieć, że te lata 70. to nie były dobre lata, bo wtedy rzeczywiście takie środowisko uniwersyteckie... No tak tkwiliśmy właściwie w takiej trochę beznadziei, bo to nie było jakieś... No wszyscy widzieliśmy, w czym tkwimy. Słuchaliśmy wszyscy Wolnej Europy zagłuszanej, ale jednak się dało, dało się coś tam odsłuchać. Nie było jeszcze mowy wtedy o żadnych samizdatkach, o żadnych nielegalnych publikacjach, ale pamiętam, że w 1976 r. usłyszałem, że po rewolcie w Radomiu i nie tylko, w Ursusie, to w czerwcu też było i powstał KOR wtedy. I usłyszałem, że członkiem KOR-u jest Stanisław Barańczak, z Poznania jest Stanisław Barańczak. Ponieważ ja bardzo dobrze go znałem, bo byliśmy na jednym roku. On oczywiście studiował polonistykę, ja studiowałem romanistykę, ale to był ten sam wydział wtedy, nie było osobnych wydziałów, bo uniwersytet był mały. Tak że przyjaźniliśmy się, ja kibicowałem, bo sam nie uczestniczyłem jako aktor w Teatrze Ósmego Dnia, który wtedy powstał. Jak ja byłem na pierwszym roku romanistyki, to poloniści z pierwszego roku polonistyki założyli Teatr Ósmego Dnia. Tak że ja byłem właściwie świadkiem ich narodzin, bardzo kibicowałem im. No i przyjaźniłem się m.in. ze Staszkiem. Staszek był bardzo lubiany przez wszystkich. Jak usłyszałem, że właśnie Staszek jest tym korowcem tutaj na Poznań, to poszedłem do niego. On wtedy mieszkał jeszcze, on był żonaty, ale mieszkał z matką. Ojciec jego już nie żył wtedy, natomiast na Kościuszki pamiętam takie, to mieszkanie bardzo dobrze pamiętam. No i tam poszedłem do niego, on się bardzo ucieszył i podjąłem taką, to była taka nieformalna współpraca polegająca na dystrybucji publikacji, które KOR wydawał. To był „Biuletyn informacyjny”, gdzie opisywano różnego rodzaju nadużycia władzy i represje w stosunku czy to do robotników, czy to właśnie do tej powstałej opozycji no i na zbieraniu pieniędzy wśród znajomych. Tak że to tak wyglądało, że ja tam brałem jakąś porcję właśnie tych biuletynów i wśród kolegów na uniwersytecie to rozprowadzałem i zbierałem pie-

niądze i potem odnosiłem Staszewi itd. Potem Staszek się przeniósł na osiedle Kopernika. To jest zresztą w sumie dość zabawne, bo to też pokazuje jak bardzo te lata 70., jak szalenie ten system zerodował, powiedzmy. Już taka była erozja tej komuny, bo Staszek z jednej strony był prześladowany, a z drugiej strony jako członek Związku Literatów Polskich był tam na jakiejś liście tzw. przyspieszeń, bo wtedy mieszkanie się dostawało przez spółdzielnię mieszkaniową, ale taki zwykły człowiek dostawał to mieszkanie po 20 latach, powiedzmy, taką miał kolejkę. Ale praktycznie mówiąc, nikt nie był zwykłym człowiekiem, bo każdy miał jakieś poparcie swojego zakładu pracy. I teraz te zakłady, które były silniejsze, skracaly czas czekania bardziej. I Związek Literatów Polskich, ponieważ to było nieliczne, a władza bardzo dbała o ten, to rozumiem, że miał większe to przyspieszenie i Staszek dostał to mieszkanie, nie wiem, chyba w okolicach 1977 r. czy 1978 r., kiedy już był człowiekiem źle widzianym przez reżim. Ale widocznie w Związku Literatów uważano, że jak go skreślimy, to o nas będzie mówić Wolna Europa. To już były takie czasy, to jest ciekawe. No więc tam go zacząłem nachodzić, ale Staszek twierdził, że tam na pewno jest zamontowany podsłuch. Bardzo możliwe, że był. I pamiętam, że jak tam właśnie była w jednej z porcji tej literatury, była powieść Stalińskiego „Widziane z góry”. A Staliński to był Kisielewski. Ale wtedy ja o tym nie wiedziałem. I Staszek widocznie uważał, że SB też może tego nie wie. Może zresztą nie wiedziało, to trudno powiedzieć. To ja mówię do niego: „No wiesz, to jest na pewno pseudonim”. On mówi: „No tak, oczywiście”. I wyciągnął karteczkę papieru i mi napisał na niej „Stefan Kisielewski”. Czyli chodziło o to, że nie chciał powiedzieć nazwiska Kisielewski, no bo myślał, a nóż oni nie wiedzą. Więc to takie były czasy. No i w ten sposób żeśmy doszli do roku 1980, kiedy, no powiedzmy... Jeszcze w międzyczasie się pojawiły te studenckie koła oporu. SKS-y to były, komitety oporu, studenckie komitety czy samoobrony, nie, już nie wiem jak tam, ale w każdym razie właściwie uniwersytety były dosyć silnym takim ośrodkiem jeszcze tej takiej no w sumie bardzo małej, bardzo pączkującej opozycji. No ale w 1980 r., kiedy... Pamiętam, byłem na wakacjach wtedy u siostry na Warmii i usłyszeliśmy, oglądaliśmy właśnie w telewizji podpisanie umów gdańskich. Ja pamiętam, że wtedy byłem mimowolnym świadkiem wylotu, jakieś dwa tygodnie wcześniej, wylotu do Gdańska całej kompanii ZOMO. To były wtedy te strajki, był apogeum strajków, wtedy nie wiadomo było jeszcze, jak tam będzie. Ja zupełnie przypadkiem przejeżdżałem rowerem koło Taborowej, koło ówczesnej siedziby ZOMO i policji i widziałem, jak najpierw pojechała tam cała kolumna samochodów, ciężarówek i potem jakieś 20 minut potem cała flotyła helikopterów leciała ewidentnie w kierunku właśnie północno-wschodnim, czyli ewidentnie tam lecieli. Dosyć muszę powiedzieć, że to były takie... No dreszcze mi trochę chodziły po głowie, bo jednak mieliśmy w pamięci rok 1970 i to, co się w 1970 r. stało w Trójmieście. No ale jak wiemy, że historia się inaczej potoczyła. I zaraz po tym 30 sierpnia wróciłem do Poznania i właśnie wsiąknęłam już wtedy w organizację NSZZ Solidarność. Wtedy to jeszcze nie było NSZZ Solidarność, tylko był Niezależny Związek Zawodowy. Uniwersytet był jedną z takich wiodących, można powiedzieć, instytucji w Poznaniu, jeśli chodzi o Solidarność i nasz pierwszy taki okres działalności polegał na tym, że ten nasz taki mały komitet założycielski, w którym było sporo filologów, ale nie tylko, bo byli też fizycy, czy tanmat-fiz tak zwany. Najmniej pewnie było historyków i nauk społecznych. Oni się mniej kwapili do tego. Ale to polegało na tym, że robiliśmy takie zebrania wydziałowe związkowe. Związek ówczesny to był ZNP. I na danym wydziale się zwoływało takie zebranie związkowe. Myśmy, powiedzmy, jeden czy dwie osoby z tej naszej małej grupy założycielskiej, udzielano nam głosu. Przedstawialiśmy w krótkich słowach, na czym polega idea tego związku zawodowego, który będziemy tworzyć. A potem występował nieszczęsny przedstawiciel ZNP, który przekonywał, żeby... No my tu mamy przecież związek zawodowy i po co zakładać nowy, to my się przecież reformujemy itd. No ale to oczywiście efekt... I potem było zarządzane głosowanie. I to głosowanie tam dawało wynik tam, nie wiem, dzie-

więćdziesiąt parę procent było za nowym związkiem, no więc... Gdzie ta Solidarność, można powiedzieć, została stworzona niezwykle szybko. I takim trochę zabawnym, powiedzmy, incydem, jaki pamiętam, to było, kiedy myśmy już tak urosli w siłę, już wiadomo było, że my będziemy największym związkiem. Nie chcieliśmy mieć złych relacji z tym ZNP, no bo tam ktoś oczywiście zostawał i umówiliśmy się na spotkanie właśnie w tym ZNP. ZNP wydelegowało dwóch docentów, jeden to był Adek Rozwadowski, to był profesor prawa rzymskiego, on potem szalenie był no takim autorytetem w dziedzinie prawa rzymskiego. On był pewnie uczniem „Gandhiego”, czyli słynnego profesora Czubińskiego. I usiedliśmy, oni reprezentowali ZNP, my właśnie ten niezależny związek, jeszcze chyba bez nazwy. No i tak chwilę żeśmy rozmawiali, po czym Adek, który był człowiekiem szalenie impulsywnym, machnął ręką i powiedział: „A wiecie co, to my się do was przyłączamy”. Tak że ZNP i potem faktycznie był bardzo użytecznym i bardzo aktywnym członkiem Komisji Zakładowej, bo on jako prawnik bardzo był przydatny. Bardzo to było wtedy, mogę powiedzieć, krzepiące. Gdzieś tak w połowie pewnie września, czy w końcu września się już ostatecznie uformowała Solidarność w swoim kształcie późniejszym. Nazwa Solidarność zaczęła być używana. To przez pewien czas był jeszcze pewien taki rodzaj, nie wiadomo było czy związek zawodowy tych pracowników wyższych uczelni, bo taki był, taki Porozumiewawczy Komitet Nauki chyba, tak się nazywało. No ale to wszystko, w efekcie wszyscy za panią matką przystali do Solidarności. No i potem już wspominam te lata jako absolutny, do końca 1981 r., czyli to, co się nazywa karnawalem. To nie był karnawał, bo to była ciężka, bardzo ciężka praca. Tak że wspominam te czasy bardzo dobrze, ale jednocześnie rzeczywiście była to ogromna praca. Ponieważ uniwersytet tak... W 1981 r. jak wiemy, było 25-lecie, ćwierćwiecze Czerwca Poznańskiego. No więc czasu było niezwykle mało i uniwersytet odegrał bardzo dużą rolę właśnie w powstaniu tego pomnika. No nie mogę powiedzieć, że decydującą, to z całą pewnością nie, ale pierwsza książka, która na ten temat została zredagowana, „Poznański Czerwiec”, ją zredagował profesor Ziółkowski. Nie, profesor... No Zosia Trojanowiczowa, która była wówczas docentem i profesorem, o i teraz zapomniałem nazwiska, ale to jest... Profesor Maciejewski oczywiście. Tak że dwoje redaktorów to byli profesor Maciejewski i właśnie Zosia. To zostało, powiedzmy ich rola była redakcja, właściwie głównie oni redagowali wspomnienia, które były na ten temat i źródła. I oni to zrobili w niebywałym zupełnie czasie, bo na koniec czerwca już książka była, to wydało Wydawnictwo Poznańskie i książka już była w dystrybucji. No również szybko powstał pomnik i w tym uniwersytecie też miał swoją rolę. Szefem komitetu był też nasz współpracownik, ale z Akademii Rolniczej wówczas, Szeffe, on się nazywał Szeffe. Tak że, no prace nad tym były niezwykle wytężone, ale uniwersytet również miał jedną rolę taką dosyć, powiedziałbym, istotną, mianowicie jako taka Komisja Zakładowa, która miała siłą rzeczy takie, powiedzmy, zasoby, powiedziałbym, intelektualne, to uniwersytet służył jako taki rodzaj komisji, która prowadziła instruktaż. Poza tym wydawaliśmy „Biuletyn informacyjny”, który był de facto głównym czasopismem, czy głównym takim... To nie była gazeta, ale to było takie powiedzmy, wychodziło co tydzień, czasami co 10 dni. Zarządu regionu, bo zarząd regionu miał tam swoje pismo, ale ono tam wychodziło chyba co miesiąc, a głównym takim periodykiem, który szedł do zakładów pracy, w bardzo dużych liczbach był drukowany na offsecie, bardzo porządnie zresztą był drukowany, to były dobre... Znaczący to, ten offset to był chyba w ZNT-ku czy gdzieś, a myśmy przygotowywali matrycę. Przede wszystkim redagowaliśmy to. To była ogromna praca. Tutaj mogę wspomnieć Kysię Laskowicz, która była chyba główną, takim spiritus movens tego i jakby zarządzała tym, można powiedzieć. Także również wszelkiego rodzaju działalność taką instruktażową, to też to przychodziło. Tak że właściwie siedziba Komisji Zakładowej na w Collegium Minus to był absolutny młyn. To drzwi się nie zamykały. Właściwie w dzień i w nocy, można powiedzieć. Odślonięcie pomnika to oglądałem na balkonie Minusa. Na balkonie, to właściwie balkon auli był. To było coś fantastycznego

rzeczywiście. To do dziś pamiętam jako taki, powiedzmy, to jeden dzień może to był taki od rana tam, i potem jak pomnik został odsłonięty, no ruch tramwajowy tam był oczywiście wstrzymany i były takie tłumy, które się przewalały, oglądały ten pomnik, chodziły tam, były ławki roztawione, chodziły, siadały, rozmawiały i ja pamiętam, że to był taki nastrój, naprawdę wolności był. To było coś niesamowitego, bo oczywiście Solidarności towarzyszyło zawsze mniej czy bardziej wyraźne poczucie zagrożenia, bo no wiadomo dlaczego. Ale na ten dzień odsłonięcia pomnika to się kompletnie rozplynęło w powietrzu i oddychaliśmy wszyscy naprawdę, byliśmy w wolnym kraju. To były czasy, kiedy już władza bardzo ostro tam przykręcała śrubę i starała się zmęczyć psychicznie społeczeństwo, co im się do pewnego stopnia udało. Ale ten jeden dzień to pamiętam jako właśnie wakacje, czy przepustkę w wolnym kraju. To było nadzwyczajne. Potem były wybory do władz związku już takich sformalizowanych. Ja zostałem wydelegowany przez swoją Komisję Zakładową do zarządu regionu i tam zostałem wybrany przez ten zjazd regionalny. To było na targach, w jednej z hal targowych to się odbywało. Tam było takie pewne napięcie między grupami, które były, można powiedzieć... lojalne w stosunku do kierownictwa związku, a takimi grupami, które były trochę jakby w stosunku do zarządu regionu krytyczne. I to SB próbowało to rozdmuchać szalenie z dość mizernym skutkiem, ale działała taka ekipa, można powiedzieć no właśnie ludzi inspirowanych niewątpliwie przez SB, bo oni potem zniknęli z Solidarności. Ich potem w podziemiu nie było. Był taki facet dosyć aktywny, który kiedy chciał... Jakież oni mogli mieć wpływ? Oni mogli tylko jakieś nastroje tam próbować stworzyć, np. żeby zostali wybrani ci, a nie ci. I np. jeżeli ktoś był takim pistoletem, no to ci starali się jakoś tam mu zaszkodzić, prawda. Ale to było oczywiście nieskuteczne. Pamiętam, że jednego z... Nie pamiętam czy Janusza Pałubickiego, czy któregoś z tych, powiedzmy, źle widzianych przez SB, gorzej widzianych przez SB, to ten właśnie taki prowokator pyta się: „Czy kolega wie, co to jest za numer telefonu?” I podaje numer telefonu. No i Janusz mówi: „Tak, to jest telefon Jacka Kuronia”. No i to już miało... Znaczący, oni starali się wyrzucić taki, zrobić takie wrażenie, że jak Kuroń, to już jest coś podejrzanego. No wtedy to jeszcze absolutnie nie działało. To potem może zaczęło działać, ale wtedy nie. A z kolei ja widocznie byłem uważany za osobę mało istotną i mało bojową, bo zresztą oczywiście ja nie byłem specjalnie, ja raczej należałem w takich bardziej umiarkowanych, powiedzmy, działaczy. No więc ten właśnie prowokator się mnie pyta: „A ile kolega zna języków obcych?” Ja mówię: „No znam biegle dwa, to znaczy, angielski, francuski, no i jeszcze tam rosyjski itd.” No i szum po sali. I to były takie czasy, to mnie niezwykle rozbawia, ale to były naprawdę takie czasy, że wiadomość, że ktoś zna dwa języki obce, zachodnie, to spowodowała, że ja dostałem jeden z najwyższych sum głosów do zarządu regionu. No na zdrowy rozum, jakież to ma związku z działalnością związkową? No żadnego, ale dostałem, pod tym względem to było jednak skuteczne, że ten potulny Krzyżanowski jednak się dostał do zarządu regionu. Ale oczywiście Pałucki tym bardziej się dostał, więc to było bardzo takie naiwne. No ale dostałem się do zarządu regionu i również w tym samym, znaczy, w kolejnym głosowaniu zostałem delegatem na zjazd, no i brałem udział w Oliwii, tak że uchwalałem, prawda, jak większość to posłanie do narodów Europy Wschodniej, do robotników Europy Wschodniej. No i pod sam koniec 1981 r., ale jeszcze przed stanem wojennym, ale dosłownie na jakieś dwa czy trzy tygodnie przed stanem wojennym obroniłem doktorat. Doktorat już miałem napisany w zasadzie przed wybuchem Solidarności, czyli przed 1980 r. Gdybym go nie miał napisanego przed 1980 r., to bym go nie napisał już nigdy, ponieważ jak się zaczęła Solidarność, to już nie miałem czasu na żadną absolutnie działalność. Tyle że tam odrabiałem zajęcia ze studentami, ale żadną własną tam, żeby cokolwiek pisać czy ten, to absolutnie nie. No ale obroniłem i dzięki temu już zostałem internowany jako doktor. To oczywiście miało to jakieś późniejsze znaczenie dla mnie, chociażby ze względu na to, że już miałem wyższy etat na uniwersytecie. Sam 13 grudnia nie zostałem internowany w pierwszej paczce, w pierw-

szej grupie internowanych i 13 rano wpadła do, pewnie o 7:00 rano przyjechała Ewa Siarkiewicz-Biwant, moja koleżanka z anglistyki, również oczywiście działaczka Solidarności. Kiedy obudziła dzwonkiem do drzwi, mówi: „Heniu, zaczęło się”. Ja już od razu wiedziałem, co się zaczęło. To było nadzwyczajne, bo to, jeszcze nawet chyba nie znaliśmy pojęcia stanu wojennego, ale zaczęło się, to już, no to się zaczęło. No ja się szybko oczywiście, to była niedziela, jak wiadomo. Ja zresztą dosyć byłem zmarnowany, tak że noc bardzo mocno przespałem z 12 na 13, bo na uniwersytecie w sobotę zakończył się strajk studencki. I to był okupacyjny strajk, myśmy z Zosią Trojanowiczową np. i paroma innymi członkami Komisji Zakładowej, ten strajk doprowadzili do tego, że on się już skończył, bo to już nie bardzo miało sens dalsze kontynuowanie tego strajku. Studenci wyszli. No i okazuje się, że właśnie w nocy był stan wojenny ogłoszony. No ja się ubrałem i pojechałem do Komisji Zakładowej. W tramwaju próbowałem, to pamiętam, tramwaje wtedy były bardzo zatłoczone i próbowałem jakby odnieść się do sformułowania, którego władze wówczas używały wobec internowanych, formuły, przyczyny internowania. Bo ta formuła brzmiała, że zostanie internowany ze względu na to, że wzbudza niepokój społeczny, wzbudzanie niepokojów społecznych. I o ile w stosunku do wszystkich tych internowanych w nocy z 12 na 13 to była absolutnie dęta, no bo oczywiście byśmy to w grudniu 1981 r., owszem, byli tacy, którzy wzbudzali niepokój społeczny, ale to władza. To wtedy władza, była wściekła kampania już przeciwko Solidarności i różnego rodzaju prowokacje, różnego rodzaju akcje, chociażby w szkole pożarniczej. No to władza rzeczywiście wtedy robiła wszystko, żeby wzbudzić niepokój społeczny. Ale jak Solidarność nie. No ale ja rzeczywiście, ponieważ jechałem tym tramwajem rano, to próbowałem to rzeczywiście wzbudzić, bo zacząłem mówić głośno, że no teraz rozumiem, że wszyscy będziemy strajkować, bo przecież władze związku zostały zabrane. I pamiętam, że była cisza w tramwaju, nikt się tam do mnie nie tego i tak troszkę się nawet ode mnie odsuwało. No, to już dawało mi do myślenia. Natomiast w tej Komisji Zakładowej, tu muszę oddać sprawiedliwość rektorowi Ziółkowskiemu, który wtedy był rektorem, Janusz Ziółkowski, późniejszy senator i minister Wałęsy. On teoretycznie jako rektor powinien był zapieczętować naszą komisję, no i tyle. On oczywiście tego nie zrobił i komisja przez co najmniej dwa kolejne dni w komisji było jak w ulu, bo przychodzili ludzie z miasta i przynosili nam wykazy internowanych, informacje takie, inne. Myśmy z kolei likwidowali sprzęt, znaczy, ukrywaliśmy sprzęt. Udało nam się powielacz wtedy wynieść i ukryć. To wszystko się oczywiście odbywało na oczach, tam z pewnością byli jacyś obserwujący nas esbecy, no ale to trudno, to już tak było. Próbowaliśmy zorganizować, można powiedzieć, że najwyższym, powiedzmy, działaczem naszej komisji to była wiceprzewodnicząca, właśnie Krysia Laskowicz, która nie została internowana, bo Maciej Henneberg, przewodniczący, był internowany zaraz w nocy, oczywiście Janusz Pałubicki tak samo. Zresztą Janusz to pewnie był na Komisji Krajowej, czyli on został tam w hotelu zwinięty. No i próbowaliśmy wtedy z Krystyną i z kilkoma takimi działaczami, którzy jeszcze zostali na powierzchni, zorganizować komitet strajkowy regionalny, bo taki to był wymóg związkowy, że mieliśmy taki obowiązek nawet. No ale to nie zadziałało. Niby tam powstał taki komitet w Maszynach Żniwnych, ale to się bardzo szybko rozeszło. Pamiętam, że próbowaliśmy zorganizować sieć łączności na kolei. Poszliśmy z takim działaczem z kolejowej właśnie Solidarności i w tych budkach dyżurnych ruchów tam próbowaliśmy jakieś kontakty łączyć, ale no nie chciano już. Rzeczywiście władza dość skutecznie przestraszyła nas wszystkich. No i tak działaliśmy sobie. Myśmy nocowali wtedy już z żoną u znajomych. Tak że potem dopiero się dowiedziałem, że już we wtorek wieczorem już po mnie byli w domu, no ale nas nie było. No ale w środę rano. Żona się potem ze mnie śmiała, że ty żeś się ukrywał w nocy, a działałeś w dzień, prawda całkowicie jawnie. No to rzeczywiście tak było, no bo nie było innej możliwości wtedy. Przyjechali do NOW-u. Ja pamiętam jeszcze w swoim pokoju jakiegoś człowieka, miałem kontakt z jakimś człowiekiem z ulicy, który mi

przyniósł, z jakiegoś zakładu pracy, już nie pamiętam jakiego, przyniósł mi listę ręcznie napisaną właśnie działaczy, którzy byli zatrzymani. Zszedłem na dół napić się herbaty w barze no i po chwili właśnie pojawił się w drzwiach mój szef w towarzystwie dwóch cywilów, którzy powiedzieli: „Słuchaj Henryk, panowie chcą z tobą porozmawiać”. No a oni oczywiście cap, już nie pamiętam czy mnie zakuli wtedy od razu. Chyba nie nawet, ale zrobili krótką rewizję w moim pokoju i odwieśli mnie na Kochanowskiego. Tam pamiętam, że oczywiście znaleźli tę listę, którą miałem przy sobie, ale nie znaleźli... Krystyna tego samego dnia, czy w przeddzień dała mi kontakt do Gdańska jakiś taki, który mówiła, że to jest bardzo ważny kontakt i że on na pewno będzie działał. Ja ten kontakt na szczęście włożyłem sobie pod podeszwę buta. I o ile tam znaleziono wszystkie tam rzeczy, które miałem, które ewentualnie były kompromitujące, łącznie z wizytówką konsula amerykańskiego, bo tu przecież w Poznaniu był konsulat wtedy, to tego nie znaleziono. I nie znaleziono tego również przy rewizji, bo potem mnie po takiej krótkiej próbie przesłuchania mnie sprowadzili na dołek do takich brudnych cel i tam zrewidowali mnie, ale tego też nie znaleziono i zamknięto mnie w celi. A ja byłem w sumie też zmęczony, bo te dwa dni były szalenie intensywne. Co miałem robić? Byłem sam w celi. Tak że na takiej drewnianej pryczy się położyłem i zasnąłem. Tak że wykorzystałem. A potem mnie przewieziono na Młyńską. To było nieprzyjemne, bo tam na Młyńskiej byli bardzo chamscy ci strażnicy. Widać było, że wrogo są do nas nastawieni. Tam mi wręczono decyzję o internowaniu i zawieziono mnie do Gniezna. Do Gębarzewa oczywiście, nie do Gniezna, tylko do Gębarzewa. No i tam już byłem do lipca. No i tam właśnie użyłem... A właściwie to Gębarzewo dobrze wspominam, bo byłem w bardzo przyzwoitym towarzystwie. Naprawdę, to byli świetni ludzie. Pamiętam takiego Janusza Bukowskiego, on już nie żyje biedny, ale on był szefem w transporcie miejskim. Czyli był kierowcą, można powiedzieć. Miał wykształcenie jakieś tam zawodowe, ale to był naprawdę wybitny facet, bo był tak... To było duże przedsiębiorstwo wtedy, więc fakt, że on został przewodniczącym, to świadczy, że to był ktoś, no w pewnym sensie z elity, prawda? Tak że ja zresztą zawsze mówiłem, że ja siedziałem z elitą wtedy. Bo siedziałem z szefem Solidarności ZNT-ku na przykład, szefem Solidarności z Teletry – to był duży zakład zmilitaryzowany, to był Andrzej Judek, który potem odgrywał ogromną rolę w latach 80., kiedy próbował zorganizować ruch samorządowy, bo kiedy Solidarność została już definitywnie, można powiedzieć, zdelegalizowana, rozwiązana, była podziemna, ale to ona nie miała, ona mogła działać jako podziemie, to w dużych zakładach pracy się zaczął tworzyć ruch samorządowy, żeby poprzez samorządy robotnicze, czyli samorządy pracownicze, jakby przejąć te zakłady. To się nie udało w efekcie. Wtedy się chyba mówiło o modelu jugosłowiańskim, że w Jugosławii tak było. To się nie udało, bo oczywiście partia czy SB raczej się bardzo szybko zorientowało, o co to chodzi, więc różnego rodzaju kłody tam pod nogi stawiano i to uniemożliwiono, ale to była naprawdę jakaś tam szansa w tym była. No więc ja właśnie z takimi ludźmi byłem w celi. Myśmy byli zamykani w celach, tak że nie mieliśmy kontaktu między sobą. Kiedy przyjeżdżali np. biskupi, to nie było jakiegoś takiego wspólnego zebrania internowanych, tylko drzwi celi się otwierały i wchodził biskup w towarzystwie strażników więziennych. Pamiętam biskupa Ettera, to był emeryt już oczywiście, taki mocno korpulentny taki biskup, pomocniczy poznański. I myśmy położyli koc na takim zydłu, takim zydłu więziennym i „bardzo prosimy, ekscelencjo” czy tam księżę biskupie. On usiadł na tym zydłu, tak patrzy i tak się zaczyna śmiać. Mówi: „Ha, ha, ha, to my w Dachau takie same mieliśmy”. No, my oczywiście w śmiech. No, a ci strażnicy, no to nie wiedzieli pewnie, gdzie oczy podziać, bo to rzeczywiście, no nie jest to miłe porównanie. No, ale tak było, no. I właśnie tak jak powiedziałem, tam wróciłem do francuskiego. Dlaczego? Dlatego, że dosyć szybko władze się zgodziły na wizytowanie obozów internowania przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż ze Szwajcarii. Ponieważ to było ze Szwajcarii, więc oni, to byli głównie lekarze, ale nie tylko, i oni przyjeżdżali do tych obozów i mieli taką zgodę,

żeby z każdym, kto będzie chciał z nimi rozmawiać, rozmawiać bez obecności władzy, tylko przez tłumacza. I oczywiście, ponieważ myśmy wtedy byli ogromnie podejrzliwi, to powstał taki ten, no tak tłumacz, tłumacz, to będzie, no wiadomo, co to za tłumacz będzie. No i zostali wydelegowani ci, którzy znali języki, żeby oni byli tłumaczami. Ja w ten sposób tłumaczyłem, no bardzo wielu tych, bardzo wielu kolegów właśnie albo francuskiego, albo nawet po angielsku, bo ci lekarze też znali angielski. Ale oni woleli francuski, więc ja tłumaczyłem z francuskiego. Moja rola jako tłumacza była do pewnego stopnia trochę dwuznaczna, ponieważ to muszę powiedzieć, bo tak było, że część kolegów tych internowanych to w relacjach bardzo mocno próbowali koloryzować swój los, czy powiedzmy, może przyczerniać. No to nie był oczywiście... ten los był sam z siebie wystarczająco czarny. Niektórzy z nich bardzo źle znosili to internowanie, zamknięcie, no bo myśmy byli w normalnym, to było normalne więzienie, prawda? Gębarzewo, normalny zakład karny. No ale z drugiej strony niektórzy z nich uważali, że podanie np. pęczaku na obiad to jest forma tortury. I to w jakichś takich bardzo potrafili w takich czarnych barwach to opisywać. Ja tak, ja z jednej strony jako tłumacz, to właściwie tłumacz to jest automat, to ja nie mam prawa, ale z drugiej strony ja się czułem z nimi jakoś tam solidarny i powiedzmy i mówię, tak że czasami nawet trochę interweniowałem i mówię: „Wiesz Czesiu, słuchaj, ale czy na pewno jesteś pewien, że to tak było” itd.? No więc oni tam trochę wtedy mitygowali. Ci Szwajcarzy oczywiście w to nie ingerowali absolutnie, ale jestem pewien, że oni doskonale sobie zdawali też sprawę z tego, bo w końcu, naprawdę, oni byli szalenie profesjonalni, świetnie, tak że ich bardzo dobrze wspominam. Oni nam zresztą pomogli, no bo dla części tych ludzi, którzy rzeczywiście byli chorzy, bo bardzo wielu ludzi było chorych i im się pogorszyło na przykład, to załatwiali lekarstwa jakieś itd., to działało. No nam np. załatwili taką rzecz, która bardzo była w sumie dla nas uciążliwa, to znaczy, każda cela miała swój własny sedes i tam nie było zasłonki, a jeszcze zważywszy na jakość tego jedzenia więziennego i nerwice, które przecież tam bardzo nas trapiły, no to to było bardzo krępujące z początku dla internowanych. No i oni załatwili tak, że to wszystko, to było bardzo mocno podkreślane, że mają być zasłonki. I faktycznie po ich pobycie nam zrobiono takie zasłonki z drutu i z tkaniny itd. To już zawsze było to trochę lepiej. Tak że tak to było. Pod sam koniec internowania, gdzieś na dwa miesiące przed zwolnieniem, znaczy, ja mówię o lipcu, bo większość nas zwolniono w lipcu, to otworzono cele, no to wtedy jakieś takie kursy, wiem, że tam zwrócili, że może byś zrobił kurs angielskiego, może francuskiego. Ja rzeczywiście robiłem takie kursy, ale one nie były specjalnie efektywne, bo jednak, no myślę, że to było... Jednak wszyscy byli pod stresem, więc... No dobrze, potem nas zwolniono, znaczy, tych co zwolniono, ale większość rzeczywiście. Nie zwolniono np. Andrzeja Judka, który został wysłany do Kwidzyna właśnie jako pewnie szef tej Teletry. Myślę, że to był główny. I tam, jak wiemy, była pacyfikacja, tak że tam on dosyć mocno został pobity. No a myśmy wrócili... No i w taki czy inny sposób myśmy się włączyli oczywiście w tę działalność podziemną.

Tomasz: Plaskota: I jak ta działalność po wyjściu z internowania wyglądała?

Henryk Krzyżanowski: Ta działalność wyglądała w taki sposób, że z jednej strony był kolportaż. To trzeba było... No powiedzmy, ja nie uczestniczyłem np., nie wiedziałem, gdzie są drukarnie itd., ponieważ było takie założenie, że my jesteśmy jakby na widelcu. Zresztą do pewnego stopnia było to słuszne założenie, ponieważ już po, już tutaj w wolnej Polsce, jak IPN udostępnił nam nasze kartoteki, no to się dowiedziałem z tego, że już w 1983 r., czyli po roku od zwolnienia z internowania, już założono mi osobny kwestionariusz jakby pseudonimem figuranta, czyli ja byłem figurantem, prawda, to pseudonimem było „Hrabia”, co mnie bardzo rozbawiło, bo moja rodzina, bo ja byłem

synem ziemianina, ale hrabią nie byliśmy. I jak wiadomo w I Rzeczypospolitej, żeby zostać hrabią, trzeba było mieć zgodę Sejmu. Król mógł kogoś zrobić hrabią, ale musiał na to się zgodzić Sejm też, bo szlachta była równa sobie. A tutaj wystarczył pułkownik SB, że napisał, załóżcie na Krzyżanowskiego kwestionariusz i już byłem hrabią. No ale wracając właśnie do działalności... Jedną z form to była właśnie działalność ta... Drugą była oczywiście udział w manifestacjach i w tzw. zadymach. Ja specjalnie w tym nie gustowałem, chodziłem oczywiście na manifestacje, ale na pewno nie byłem w pierwszym rzędzie rzucających kamienie, czy w związku z tym polewanych wodą, to nie, to oczywiście nie. No wszelkiego rodzaju uroczystości kościelne to rzecz jasna się w tym uczestniczyło. Ważną działalnością było zbieranie składek i potem dystrybucja wśród np. rodzin osób uwięzionych. To było wtedy ważne i to było dobrze zorganizowane. Działalnością, o której się nie pamięta, czy mało pamięta, to było obserwowanie wyborów. Ponieważ władza próbowała stworzyć wrażenie, że wszystko dzieje się, normalizuje ludność, nawiązuje kontakt z władzami i w ogóle, że już niedługo będzie tak jak za PRL-u, co oczywiście było absolutnie nieprawdą. Ale aby to wykazać, to Solidarność zorganizowała kontrolę wyborów. I teraz, na czym polegała ta kontrola? Że musieliśmy policzyć wszystkich wchodzących do lokali wyborczych. Tak się złożyło, że akurat moje mieszkanie dokładnie było naprzeciw szkoły, czyli wszystkich widzieliśmy wchodzących i wychodzących. No więc oczywiście u mnie został zorganizowany taki duży punkt. Było kilkoro kolegów, no bo to cały dzień trzeba było, na takich bibułkach żeśmy pałeczki stawiali na każdego wchodzącego. Mój taki zastępca, Jerzy Krężlewski, który był człowiekiem niezwykle krewkim, to jak właśnie on miał dyżur i siedział przy tym oknie i widział, że jakieś staruszki po mszy wchodzi do tego, to nie mógł się, oczywiście tam odhaczał je, nie mógł się powstrzymać i miotał pod ich kierunkiem wulgaryzmy. „Ty taka owaka, gdzie liziesz?!” No, w każdym razie... Ale to była ważna działalność. Dlaczego? Dlatego, że przed wyborami. No wtedy jeszcze to był taki okres, to była pierwsza dekada, pierwsza połowa dekady, więc jeszcze dosyć to SB żeśmy, no dość ostro nas traktowało, więc nie wchodziło w rachubę, żeby pójść, właściwie byłoby normalną działalnością, żeby pójść do komisji i dowiedzieć się, ilu jest wyborców, znaczy, ile wynosi 100% wyborców w tym obwodzie. No to nam absolutnie do głowy nie przychodziło i myślę, że słusznie, bo myślę, że gdybyśmy tak zrobili, to zostalibyśmy natomiast namierzeni. I w efekcie pewnie ten punkt by nie mógł działać. No więc, ponieważ ja z racji swoich zainteresowań naukowych dosyć dobrze się znałem na statystyce, więc poszedłem przed tym do proboszcza, tutaj ks. Radziejewski, to ogromnej zacności człowiek, i mówię mu: „Księżu proboszczu, jest tutaj taka sprawa, że jakby mi ksiądz pozwolił, to ja bym sobie spisał z ksiąg parafialnych, ilu tu jest tych...” Ksiądz Radziejewski mówi: „No teoretycznie to ja nie mam prawa”, znaczy, chodziło o przepisy kościelne, „ale to w dobrej sprawie, to dobrze, niech pan to robi”. No i ja przez tam ileś tych, ileś tych dni trwało, spisałem cały ten, mieliśmy już mniej więcej, bo to oczywiście tam trzeba było nanieść pewne poprawki itd., ale w każdym razie udało nam się ustalić mniej więcej, ilu faktycznie wynosi 100% wyborców w tym. No i z tego naszego wyliczenia wyszło, że te procenty, które władza podaje, były absolutnie skłamane i że naprawdę dużo mniejszy procent wziął udział w tym. I potem to tak wyglądało, że kiedy z tego punktu, żeśmy w naszym punkcie zsumowali już i ja podałem, jaki to jest procent, no to się pędziło do centrali, która mieściła się wtedy u Janusza Pałubickiego, no i właściwie Krysi Laskowicz. I tam myśmy podawali te... Tak że w sumie bardzo szybko po ogłoszeniu oficjalnych wyników byliśmy w stanie skontrolować te wyniki. Tak że to... No a już potem, to był pewnie, nie wiem, który to był rok, pewnie 1988 czy któryś, wtedy już było duże takie, powiedzmy, rozprężenie wśród władzy, to absolutnie, na własne oczy to widziałem z dużą satysfakcją, przed punktem wyborczym taki stał ogromny stojak z flagami. I tak było pół na pół pewnie, były flagi białe-czerwone i czerwone. I gdzieś tak koło godziny pewnie 11:00 w południe widzimy, wychodzi facet i wszystkie te flagi czerwone zabie-

ra i zostały tylko białe-czerwone. No to rzeczywiście była duża radość. Tak że te sprawy wyborcze też były ważne. No oczywiście wydawaliśmy tam różne te biuletyny. Ja w pewnym momencie zacząłem współpracować z „Czasem Kultury”. A „Czas Kultury” był wydawany przez Solidarność Walczącą, ale to w zasadzie, no to był taki dosyć, powiedziałbym, takie intelektualne dosyć czasopismo, ale Solidarność Walcząca miała najlepiej zorganizowaną poligrafię. Zresztą wtedy był taki system, że jedni drugim bardzo pomagali, tak że to nie było tak istotne, czy ktoś jest z Solidarności Walczącej, czy ktoś jest z KPN-u, to bardzo często moce drukarskie były udostępniane. Pamiętam, wtedy Rafał Grupański był takim głównym, znaczy, on może nie był redaktorem naczelnym, ale w każdym razie on był głównym organizatorem tego. I do mnie się zwrócono, żebym po pierwsze tłumaczył jakieś artykuły z prasy zachodniej, ale raczej takich periodyków literackich, filozoficznych, tego typu, bo to był wysoki poziom rzeczywiście. To dla mnie było bardzo ciekawe. Ja to dostawałem, albo po prostu przynosił mi kurier te artykuły, te czasopisma, albo założono mi wręcz prenumeratę. I pamiętam, że ta prenumerata, jej zaletą było to, że przychodziła do mnie na skrzynkę pocztową, ale z drugiej strony jednak sporo numerów było konfiskowanych. I dostawałem wtedy takie pisemko, że z uwagi na interesy PRL, tam jest... Więc to nie docierało. No i drugą rzecz, którą miałem robić, to były takie przeglądy prasy, bo oczywiście przetłumaczyć można było jeden, dwa artykuły, a taki przegląd prasy był ciekawszy. Ja to robiłem z dużym zainteresowaniem, bo to było bardzo ciekawe i to było nawet do pewnego stopnia takie intelektualnie pobudzające, bo nie tylko, że musiałem przeczytać te artykuły, ale jeszcze jakoś tam je podsumować, tak że to lubiłem tę pracę. Tutaj mogę powiedzieć jedną śmieszną rzecz, mianowicie również ukazywały się kawałki prozy, czy jakieś krótkie utwory prozatorskie, czy coś takiego. I daliśmy to do pisania na woskówkach koleżance, czy może nawet nie na woskówkach, a już nie pamiętam. W każdym razie musiało to porządnie być przypisane. A ta koleżanka wychowywała samotnie chłopaka, nastolatka. Oczywiście była w ciężkiej sytuacji, a „Czas Kultury” płacił za to. Tak że to była dla niej, no nie tylko, że jakby przyczyniała się, ale również było to jakieś tam, prawda, nie robiła tego za darmo. A ona miała taki sposób pisania, że sobie mówiła na głos. I ona tak mówi tak na głos i w pewnym momencie ma jakiś tam pasus. „Ty chuju. Ty już tam, nie wiem, złamany taki, owaki”. I syn tej, z sąsiedniego pokoju wyskakuje taki zdumiony i mówi: „Mamo, co się dzieje?” No takie to były śmieszne rzeczy. Jedną rzecz, którą bardzo dobrze wspominam i którą bardzo, bardzo... To właściwie ja miałem rzeczywiście tu w Poznaniu to była wypożyczalnia kaset wideo. To były solidarnościowe kasety, to był Kontakt i parę innych jeszcze. Z Warszawy się przywoziło komplet takich kaset i magnetowid, bo przecież wtedy, w latach 80., nikt nie miał tego magnetowidu. Albo prawie nikt. No i to tak chodziło, że wypożyczało się no różnym znajomym, znajomemu, no to wtedy... Ale oczywiście to jednak było podziemne, bo to nie mogło wpaść. Pamiętam, że to mnie bardzo rozśmieszyło, że chyba duże polskie albo rosyjskie telewizory kolorowe nie współpracowały z tym, czyli no nie dało się z tym magnetowidem działać. Natomiast doskonale współpracował z nim, tyle że czarno-biały, telewizor Junost. To był taki turystyczny telewizor, nieduży. I on po podłączeniu się to wszystko świetnie... To powiedzmy, robiło różnicę przy niektórych filmach. Bo również były filmy zagraniczne, takich, które nie miały debiutu w Polsce oczywiście, typu tam, nie wiem, „Doktor Żywago”, czy coś takiego. No natomiast przy tych satyrycznych kasetach, Kaczmarek, nie Kaczmarek, tylko ten, Jacek Federowicz. To były tak śmieszne rzeczy, że... Ja bodaj w życiu już potem tak się nie śmiałem jak przy Federowiczem, który naśladował generała na przykład. Tak że ten system właśnie wypożyczalni kaset to działał świetnie. Oczywiście zbierało się pieniądze i potem ja te pieniądze odwoziłem. Moim kontaktem wtedy był Janusz Weiss. No niestety niedawno zmarł. Tak że ja mu to wręczałem te zbierane pieniądze i dostawałem następną porcję. To bardzo dobrze działało. No były różnego rodzaju jeszcze te formy działania. Stopniowo ta Solidarność się tak emancypowała, można po-

wiedzieć, bo już potem w 1988 r. już zaczęły się pojawiać próby reaktywowania działalności jawnej Solidarności, oficjalnej. Ja już wtedy byłem poza tym, bo chyba w 1986 r. się zwolniłem z anglistyki i zacząłem taką prywatną szkołę języków prowadzić itd., różnych się imać zajęć. I uczestniczyłem w takich seminariach, które tutaj organizował częściowo KIK, a częściowo Solidarność. To były ciekawe rzeczy, bo to były takie, można powiedzieć, że przygotowują, taki powiedzmy rodzaj, bo to były seminaria dyskusyjne na temat właśnie, co będziemy robić, jak już komuna padnie. I to powiedzmy, to było na tyle... To już było w późnych latach 80., że to już nie było aż tak abstrakcyjne, bo oczywiście no w pierwszej połowie lat 80. to byłoby to abstrakcyjne, prawda? A tam w paru takich seminariach bardzo ciekawych brałem udział. No a potem się zaczęły rozmowy okrągłego stołu.

Tomasz: Plaskota: Właśnie, jak pan ocenia i z tamtejszej...?

Henryk Krzyżanowski: Z tamtejszej perspektywy to byłem... No nie będę tutaj próbował sobie dorobić jakiegoś, prawda, image, no super umysłu. Powiem bez ogródek, że bardzo byłem dużym zwolennikiem wtedy zarówno tych rozmów okrągłego stołu, jak i całej tej kampanii wyborczej. Kiedy powstały komitety obywatelskie, to zaraz do mnie przyszli i powiedzieli, to ty tutaj będziesz naszym rzecznikiem prasowym. Ja mówię: „Dobrze, bardzo chętnie, oczywiście, ale ja nie mam telefonu”. A telefonu nie miałem dlatego, to potem mi powiedziano, że mój wniosek, no wtedy bardzo trudno było o telefon i się czekało, ale jednak już część moich sąsiadów miała już ten telefon, a ja nie. I potem mi powiedziano, Solidarność z Bułgarskiej, to chyba z tych telefonów, mi powiedziała, że w mojej teczce była taka adnotacja, że w przypadku realizacji podania, bo to trzeba było składać podanie, w przypadku realizacji podania zawiadomić Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych. I w związku z tym oni bali się nie zawiadomić, a jednocześnie nie chcieli brać w czymś takim udziału. No więc efekt był taki, że nie miałem telefonu. No ale kiedy już zaczęła się kampania, no to mi zaraz założono ten telefon, to wojewoda powiedział, bo to komitet działał przecież oficjalnie, więc założono mi ten telefon. No i wtedy rzeczywiście był to, powiedzmy, okres działania gdzieś tak od pewnie marca do końca czerwca, do połowy lipca może. To było najbardziej, nigdy tak ciężko w życiu nie pracowałem jak wtedy. Ale to były działania, naprawdę żeśmy wtedy byli w czymś w rodzaju euforii. Moja działalność polegała tak, z jednej strony na tym, że wydawałem sprawozdania ze spotkań z wyborcami, które odbywali kandydaci na posłów i na senatorów. Tych spotkań w sumie było kilkadziesiąt przez te dwa miesiące i to najróżniejszych, bo od ogromnego, powiedzmy wiecu w Arenie, poprzez takie, w których były w jakichś tam małych zakładach pracy, gdzie tam było, powiedzmy, kilkadziesiąt osób na sali. Tutaj ogromną pomoc znalazłem w Małgosi Bratek, to taka była pieśniarka, która śpiewała takie solidarnościowe songi, Barańczaka teksty. I ona się zgłosiła na samym początku, a ponieważ ona miała doświadczenia z wydawania, to ona świetnie, była nieocenioną dla mnie pomocą właśnie w tym. Zorganizowałem całą sieć takich społecznych korespondentów, czyli po prostu to wyglądało tak, że tak, ustalało się kalendarz wyjazdów, kto gdzie tam jedzie, no to oczywiście zależy, kto się zgłosił, prawda. I wtedy myśmy wyznaczali jedną albo dwie osoby do obsługi tego i ta osoba przyjeżdżała, musiała jak najszybciej napisać sprawozdanie i to sprawozdanie myśmy zamieszczali. I to potem rozsyłaliśmy do wszystkich, kurierem żeśmy dostarczali do wszystkich mediów poznańskich, które oczywiście z tego nie korzystały, bo one były komusze, ale przynajmniej były. One do dziś są bardzo ciekawe, zresztą w IPN-ie chyba to jest, ja to przekazałem do IPN-u oryginał tego, ale to pokazuje nastrój tamtych dni. I pamiętam jedno, takie właśnie sprawozdanie było, no to powiedzmy w miejscowości wielkości, nie wiem, Stęszewa, może nawet mniejszej... Wiem, że było dwóch kandydatów na senatorów i dwóch, chyba czy dwoje

kandydatów na posłów. I wystąpił przewodniczący komitetu obywatelskiego, bo wtedy to tak działało, że w poszczególnych miejscowościach powstawały komitety obywatelskie, które były jakby takimi filiami, czy były, one wszystkie, były scentralizowane w wojewódzkim Komitecie, w którym ja byłem. I wystąpił przewodniczący tamtego komitetu, który był jakimś takim starszym panem i powiedział takie krótkie przemówienie i podsumował je w taki sposób: „40 lat na to czekaliśmy i doczekaliśmy się”. No to było szalenie, w pewnym sensie nawet poruszające, prawda, bo to... Co z tego wyszło? To jest inny temat zupełnie, ale czy mogło wyjść coś innego, ja jestem sceptykiem. No nie sądzę, żeby... Może. Znaczący, z całą pewnością, gdyby nie doszło do nocnej zmiany i do wyrzucenia rządu Olszewskiego, to tak, to by wszystko się inaczej potoczyło chyba, bo już rzeczy wtedy szły ku lepszemu, ale tak poszło, jak poszło. Ja generalnie rzecz biorąc, jestem bardzo dużym krytykiem tego podziału na PO-PiS. Od razu powiem, że całkowicie jestem po stronie PiS-u, aczkolwiek byłoby lepiej, gdyby było więcej partii politycznych i gdyby to nie musiało być tak na zasadzie, że cokolwiek nie zrobi Platforma, to jest dobre, bo to nie jest PiS. No to przecież jest, przecież rzeczy, które w tej chwili wygaduje np. Donald Tusk na tych swoich wiecach, no to przecież to jest niebywałe zupełnie. Czy np. ostatnio słyszałem takiego, skądinąd był minister kultury, który oznajmia, bardzo kulturalny człowiek zresztą, który oznajmia, że on w tej chwili się czuje jak w kraju okupowanym. No przecież to są niebywałe rzeczy. Ale to jest niestety efekt tej właśnie takiej polaryzacji. I gdyby jej nie było, gdyby był zwykły taki system partyjny, że powiedzmy tam 4 czy 5 partii i one muszą się jakoś tam porozumieć i stworzyć koalicję, byłoby na pewno dużo lepiej, no ale tak jest, jak jest.